



WANDA WOJTASIK

Wanda Wojtasik

Lublin

Lubartowska 29 m. 9

Do

Głównej Komisji Badania

Zbrodni Niemieckich

Aresztowano mnie 17 lutego 1941 roku o godzinie 7.30. Przyszedł po mnie jeden gestapowiec w mundurze (silny brunet z blizną na brodzie, którego jego towarzysz nazywał Adolfem) i drugi cywil jako tłumacz. Na moje zapytanie, dlaczego mam z nimi iść, powiedział: – My som gestapo. W gmachu gestapo (przy ul. Uniwersyteckiej) po badaniach, które trwały do godziny 2.30 w nocy, zaprowadzono mnie do piwnicy. Badania prowadził ten sam brunet pytając o rzekomą moją przynależność do antyniemieckiej organizacji. Przywiązał mnie do stołu w ten sposób, że róg silnie wbijał mi się w lewą pierś (na skutek tego uformował mi się ogromny wrzód). Bił mnie sam pejczem po plecach i stopach. Po zeznaniach zaprowadził mnie do celi, gdzie na desce spałyśmy po dwie (cela ciemna z cementową posadzką).

Po dwóch dobach, nie kończąc śledztwa, zawieźli mnie na Zamek i zapakowano mnie do maleńkiej celi nr 34, gdzie było sześć łóżek, a 22 osoby, w tym połowa karnych. W więzieniu dawali nam 25 dkg chleba i pół litra krupniku. Najbardziej dał się nam we znaki zakaz wychodzenia do ubikacji – wypuszczano nas raz na dobę na parę minut, poza tym w celi był kubeł, którego pojemność nie wystarczała. Wody do mycia dawano nam jedno wiadro na dobę.

8 marca przeniesiono nas do górnej celi, gdzie wprawdzie było widniej, ale sytuacja była jeszcze gorsza, bo było nas 58, a [nieczytelne] tylko jeden ten sam kubeł.

Specjalnie sadystycznie nastawiona była oddziałowa Ukrainka Pogrebna, która dała nam się mocno we znaki.

Następne dwa tygodnie spędziłam na kwarantannie świerzbowej w maleńkiej celi, tzw. sekretce, w piwnicy – cela bardzo wilgotna, w sąsiedztwie klozetów, cement jako łóżko, nas osiem, a oprócz nas trzech same prostytutki (jedna w ostatnim, rozkładającym się stadium syfilisu).

W lipcu przeniesiono mnie z grupą politycznych do celi 38, gdzie panowała (dosłownie) znana lubelska prostytutka (znana na terenie więzienia jako wieczna recydywistka) Marysia Genca, która wraz ze swoim dworem bandytek specjalnie szykanowała polityczne.

21 września 1941 roku z tej celi zabrano mnie transportem (154 kobiety) do obozu koncentracyjnego Ravensbrück, gdzie dostałam numer 7709. Pracowałam tam kolejno przy kopaniu darni (w jesieni, gdy ziemia już była zamarznięta), kopaniu rowów, przesypywaniu piasku (pilnowały nas aufseherki z psami) noszeniu ziemi i kamieni na nosilkach, wyładowywaniu kamienia ze statku, rzucaniu cegieł, noszeniu worów cementu (60 kg) wożeniu koksu i ziemi w taczkach, a potem przy szyciu dużych słomianych butów dla wartowników (najpierw osiem, a potem dwanaście godzin na dobę na zmianę, jeden tydzień dziennej, jeden tydzień nocnej pracy).

Następnie, od 3 marca 1942 roku, pracowałam w tak zwanym *Sanitatslager* – w warsztacie, gdzie robiło się z potrójnego papieru ogromne płachty do przenoszenia rannych. Moja praca polegała na toczeniu ogromnego wału papieru (300 kg) i odmierzaniu arkuszy. Przy tej pracy wywiązało mi się, prawdopodobnie na skutek nadmiernego forsowania mięśni, zapalenie gruczołów limfatycznych pod lewą pachą, co doktorka obozowa Oberheuser (SS) rozwiązała, przecinając mi rękę w dwóch miejscach bez narkozy, a nawet bez miejscowego znieczulenia.

W tym warsztacie pracowałam do 27 lipca 1942 roku. Tego dnia cały nasz transport wezwano *nach vorne*, tzn. do komendanta, odczytano listę i puszczono z powrotem na blok. Po dwóch dniach wezwano nas znowu, tym razem do rewiru (szpitala) i tam zbadano pierwszą dziesiątkę (ja byłam wśród nich). Badanie ograniczało się do przededefilowania nago przed lekarką, która oglądała ręce i nogi, tak że odnosiłyśmy wrażenie, że chodzi o wybór do pracy.

Następnego dnia wezwano tylko tę zbadaną dziesiątkę. Byłam pewna, że idziemy na egzekucję. Wykąpano nas i kazano położyć się do łóżek (trzeba zaznaczyć, że byłyśmy wtedy po dwunastu godzinach nocnej pracy), za chwilę przyszła siostra i zrobiła nam podskórne zastrzyki w prawe udo po pięć centymetrów sześciennych jakiegoś jasnożółtego

płynu. Zastrzyk wywołał ogromne osłabienie, mdłości, przyspieszenie tętna. Nie mogłam wstać, bo mi się szalenie kręciło w głowie. Za parę minut przyszła znowu siostra z brzytwą i ogoliła nam nogi do kolan (ciężko nie miałyśmy pojęcia, co to wszystko ma znaczyć). Następnie wjechał wózek i pierwszą z brzegu zabrano. Za jakiś kwadrans wróciła (jak się okazało, chirurg tego dnia nie przyjechał). Po południu czułyśmy się o tyle lepiej, że ja mogłam usiąść. Wtedy puszczo nas znowu na blok. Reakcja po tym zastrzyku była tak silna, że ja po raz pierwszy w życiu po dojściu na blok, na apelu liczebnym zemdlałam. Po trzech dniach wzięto mnie znowu do szpitala i znowu to samo czekanie nie wiadomo na co, znowu taki sam zastrzyk i wjechał wózek operacyjny. Kolejno kładziono nas na wózek (byłyśmy tak osłabione, że ja nie mogłam wstać o własnych siłach), zawożono na korytarz przed salę operacyjną, gdzie lekarz miejscowy Schiedlausky zrobił mi zastrzyk dożylny tak piorunująco działający, że nie zdążyłam zacząć liczyć.

Obudziłam się nad wieczorem (operacja była o dziewiątej rano) z szalonym bólem nogi i głowy. Prawą nogę miałam do kolana w gipsie. Wieczorem miałam temperaturę 40,1 stopnia, dostałam na noc zastrzyk morfiny (mówiła tak siostra, która nam je dawała). Całą noc – jak szereg następnych – nie spałam, ból był wprost potworny. Do rana stopa spuchła do podwójnych rozmiarów, gips wrzynał mi się w kostkę i kolano, udo było czerwone i obrzęknięte, noga zaczęła cuchnąć. Po trzech dniach pierwszy opatrunek. Zaraz po wjeździe na salę opatrunkową siostra powiedziała o mnie, że to ta, co rozumie po niemiecku. Przykryli mi głowę prześcieradłem i lekarz nieznany mi (zobaczyłam go, zanim mnie przykryli) rozciął gips i potem miałam wrażenie, że coś wyciągał mi z nogi, wydawało mi się, że mam dwie dziury (mylnie, okazało się potem, że miałam jedną ranę) – jedna na kostce, a druga wyżej i że on coś ciągnie ze środka. To było więcej niż bardzo bolesne. Następne opatrunki były robione co drugi dzień i zawsze robił je ten sam obcy lekarz. Gorączkę miałam ciągle 39,9 – 40 stopni, noga była ciągle spuchnięta i czerwona, a spod gipsu (który nakładano mi mimo rozcięcia) ciekła dosłownie ciurkiem brązowa cuchnąca ciecz. Następne opatrunki nie były już tak bardzo bolesne i już potem nie miałam wrażenia, że mi coś wyciągają.

Stan taki trwał do dwóch tygodni (u mnie najdłużej spośród całej naszej grupy, a było nas sześć). W pierwszym tygodniu w ogóle nic (dosłownie) nie jadłam, dawali nam wtedy tzw. dietę (przecieraną jarzynę i purée z kartofli). Po dwóch tygodniach gorączka trochę spadała (wtedy, 14 sierpnia 1942, zoperowano drugą grupę dziewięciu osób) i zaczęłam jeść. Noga ciągle jednakowo bolała. Po dwóch tygodniach zdjęto mi gips całkowicie, okazało się wtedy,

że miałam jedną ranę do kości powyżej kostki na prawej nodze, długości około 8 – 10 cm, a szeroką na dłoń. Rana była zielonożółta.

Ważne jest, że na początku ciągle przychodziły nas oglądać różne komisje – lekarze mundurowi i cywilni – oprowadzała ich lekarka Oberheuser, która nas codziennie oglądała i starannie co dzień rano oglądała nasze nogi. Byłyśmy ponumerowane, były numery I, I T.K., II, II T.K., III, III T.K. (ja byłam numer ostatni – III T.K. – i u mnie reakcja była najsilniejsza z mojej grupy). Na moje pytanie, dlaczego zostałyśmy zoperowane, Oberheuser odpowiedziała, żebyśmy miały silniejsze nogi. Potem na zapytanie jednej z koleżanek (Jadzi Kamińskiej), dlaczego nas operują, odpowiedziała: – Dlatego, że w transporcie lubelskim jest najwięcej ładnych kobiet. Jednym słowem zbywano niczym nasze wielokrotne pytania.

Trzeba zaznaczyć, że byłyśmy ściśle odseparowane od reszty szpitala. Przed nami był pusty pokój, gdzie miała dyżur siostra, a do pokoju naszego wchodziły tylko siostry SS. Z nóg naszych bił tak potężny zapach zgniłego mięsa, że każdy, kto wchodził, cofał się i otwierał okno. W nocy z początku była siostra, potem, gdy gorączka trochę spadła i gdy zoperowano następne, zamykano nas po prostu na klucz. Po trzech tygodniach słabą i z zupełnie otwartą raną wysłano mnie na blok, gdzie musiałyśmy spać na gołych siennikach bez prześcieradeł. Noga ropiąca mi tak bardzo, że gdy szłam na opatrunek, zostawiałam za sobą kałużę ropy. Przez trzy miesiące bez przerwy noga ropiąca, potem zaczęła się goić. Około grudnia zaczęłam chodzić, mocno kulejąc, a dopiero na wiosnę 1943 roku zaczęłam normalnie chodzić, z tym, że prawą nogę miałam ciągle słabszą i bolącą.

Na wiosnę zabrano nas do pracy, miałyśmy robić na drutach. W każdym razie miałyśmy prawo do lżejszej pracy, poza sporadycznymi wypadkami jak np. wtedy, kiedy nas zabrano do ładowania kamieni ze statku (po czym miałam pierwszy w życiu atak sercowy). Po operacji zostało mi bardzo silne osłabienie mięśnia sercowego (według orzeczenia lekarki Czeszki pracującej w szpitalu obozowym), co się bardzo powoli wyrównuje.

Do 13 lutego 1945 roku byłam w obozie Ravensbrück, gdzie warunki higieniczne stawały się coraz gorsze, w miarę jak przybywało kobiet (wszy, pchły, pluskwy, prusaki, świerzb). Tego dnia wyjechałam z obozu z transportem oświęcimskim pod nazwiskiem Henryka Daczyńska 83 175, co uratowało mnie przed egzekucją, jaka miała się odbyć 5 lutego 1945 (od 5 do 13 lutego ukrywałam się wraz z innymi operowanymi na terenie obozu).

Ostatnie trzy miesiące do 2 maja 1945 roku spędziłam w Neustadt-Glewe, gdzie trzymano nas w najokropniejszych warunkach, stłoczone po 60 i więcej kobiet w małych pokojach, bez łóżek, bez koców. Spałyśmy pokotem na gołej podłodze, a było tak ciasno, że ani w dzień, ani w nocy nie można było wyprostować nóg (naturalnie wszy w szalonych ilościach). Dawano nam najpierw szóstą, potem ósmą, a na ostatni miesiąc dziesiątą część kilograma chleba, często spleśniałego, raz na dobę i raz na dobę ćwierć litra zupy z suszonej brukwi gotowanej zupełnie bez soli.

Po takim szalonym głodzie zapadłam na tzw. *durchfall* (głodowa biegunka), z czego wyleczyłam się z miejsca, gdy po wkroczeniu aliantów 2 maja zjadłam trochę kaszy (po prostu była to typowa choroba głodowa).

Jeśli chodzi o Ravensbrück, operowane były 74 Polki, pięć umarło po operacji:

- 1) Zofia Kiecol (Chełm);
- 2) Amelia Lefanowicz (Biłgoraj);
- 3) Kazimiera Kurowska (powiat puławski);
- 4) Freda Prusówna (Zamość);
- 5) Weronika Kraska (umarła z objawami tężca).

Wszystkie zmarłe miały, tak jak i ja, operację zakaźną. Oprócz tego były operacje kostne i mięśniowe powtarzane do pięciu razy. Z operowanych sześć zostało rozstrzelanych:

- 1) Maria Pajączkowska (transport warszawski 10 lutego 1945);
- 2) Marianna Gnaś (transport lubelski) 11 lutego 1943;
- 3) Rozalia Gutek (transport lubelski, lat 20) 23 września 1943;
- 4) Pelagia Rakowska 23 września 1943;
- 5) Aniela Sobolewska (transport lubelski) 23 września 1943;
- 6) Maria Zielonka (transport lubelski) 23 września 1943.

Poza tym jedną z operowanych, Jadwigę Łuszcz, zabrano w czerwcu 1943 roku i wywieziono rzekomo na Pawiak. Dotąd nie ma o niej żadnej wieści.

Drugą, Anielę Okoniewską, zabrano także w czerwcu na roboty po uprzednim (w październiku 1942) odczytaniu jej aktu ułaskawienia jej kary śmierci.

Pozostały 62 operowane (w tej chwili już 61, Pelagia Michalik zmarła w Lublinie).

Z transportu naszego, który liczył 154 osoby (z Zamku lubelskiego), rozstrzelano około 35, w tym 13 politycznych jednocześnie 18 kwietnia 1942 roku:

- 1) Romana Sekuła,
- 2) Maria Apnio,
- 3) Maria Waśniewska,
- 4) Apolonia Chrostowska,
- 5) Grażyna Chrostowska,
- 6) Emilia Radecka,
- 7) Genowefa (?) Adamiak,
- 8) Renata Żytkowa,
- 9) Zofia Grabska,
- 10) Wersocka,
- 11) Maria Muckowa,
- 12) Maria Dobrowolska,
- 13) Kazimiera Banowa.

Jedną z naszego transportu, Teodozję Szych, zabito zastrzykiem po ataku nerwowym.

Cyfry, które podaję, mogę poprzeć dowodami („lewe” listy), a zeznania uzupełnić, o ile są mało wyczerpujące. Podkreślić chcę, że najgorszy był dla mnie okres operacji, kiedy nie wiedziałam, czy będę chodziła i kiedy zdawałam sobie sprawę, że w ten sposób służę im i przyczyniam się do ich przewagi. Straty moralnej nie jest w stanie nic nigdy wyrównać.

Jeżeli Komisja Badania Zbrodni Niemieckich uzna to za potrzebne, gotowa jestem ustnie złożyć zeznania bardziej szczegółowe. Uważam, że najpotworniejszy był fakt, że w imię „wiedzy” lekarze, ludzie zdawalioby się na pewnym poziomie, dokonywali operacji doświadczalnych na ludziach, gdy przecież w tych samych lekarskich kołach kwestia wiwisekcji na zwierzętach była szeroko dyskutowana. Trzeba zaznaczyć, że na operacje brano nas albo podstępem, albo siłą – mimo naszych ciągłych protestów indywidualnych i zbiorowych.

Wanda Wojtasikówna,
ur. 2 listopada 1921 r., Lublin